

Płynie albatros ranny nad morzem.
W czerwieniach zmierzchu, jak czarny krzyż -
Jednym się skrzydłem rwie w gwiazdne głębie,
Drugim, omdlały, potrąca wodę.

Leci albatros ostatkiem siły,
Z rany się toczy strumieniem krew -
Krwia się zapala niebo i morze -
Przez krwawe ognie gna ptak mdlejący.

Gdzie dłonie, co go z wód groźnych zdolne
Wybawić - wstrzymać płynącą krew -
W sercu mu gniazdo uwić spokoju -
Gdzie takie wielkie serce - i dłonie?

Z skalistych zrębów nocny włóczęga
Patrzy żałośnie w posępną dal,
Kędy ostatkiem sił ptak zraniony
Swe krwawe, ciężkie opuszcza skrzydła.

Nie jemu ranne ptaki brać w dłonie -
Tchem słodkim koić płomienie ran,
W ramionach ostrów mu dać zdrowienia -
Ni w sercu grotę snów, co kołyszą.

On tylko, z ponadżlebnych krawędzi,
Kędy, sam, w głębiach nocy się pnie,
Na mórz skrwawionych głuchą balladę
I na krzyk trwogi rannego ptaka -

On tylko swoją może zadumę
Dać ciężką, głowę zamknawszy w dłoń -
I jęk, co padnie w otchłań bezdenną,
Która go dzieli od reszty świata -

Od niw radosnych i mórz tych krwawych,
Kędy, mrać, leci zraniony ptak.